

Nieprzychylnie opinie o Cruyffie fabrykowała nie tylko prasa madrycka, blisko związana z Realem, odwiecznym rywalem Barcelony. Na Camp Nou też Johana krytykowano, a także innych graczy zagranicznych. Wtedy Hiszpanie jeszcze za nimi nie przepadali. Prezes Federacji Piłkarskiej z Wysp Kanaryjskich Guillermo Willenbach Garcia bez pardonu beształ bramkarza Las Palmas, Argentyńczyka Daniela Carnavalię. To pajac! Nie dba o dobro drużyny! Nie tak złośliwie, ale też chłodno oceniano występy Paula Breitnera i Guenthera Netzera w Realu Madryt. Nasi starzy znajomi z Warszawy i Monachium. Jakby szczęściarz w czepku urodzony, na lotnisku Barajas spotkałem właśnie Netzera. Nie sprawia wrażenia przygnębiętego. Przypominam się, chętnie ze mną rozmawia.

– Coś wam w lidze nie idzie... Tylko remis z Walencją?... Spadek formy?

– spytałem.

– Nie, Walencja – to dobra drużyna. Niedawno była mistrzem Hiszpanii.

– Kibice są jednak niezadowoleni... Prasa też ma pretensje...

– Coś musi pisać... Początkowo rzeczywiście mi tu nie szło, teraz już wszystko jest w porządku. Mam wsparcie w doskonałym Breitnerze...

– Więc o co chodzi?... Czytałem, że kierownictwo Realu krzywo na pana patrzy...

– Nie na mnie... Na moje włosy! Mówili, że za długie... Prosili, bym częściej chodził do fryzjera. Było, minęło, pogodzili się... Znowu mam bujną fryzurę...

– A jak pan widzi reprezentację Polski?

– Którą? Widziałem dwie, tę nie najlepszą w 1971 roku i rewelacyjną w 1974. Różnica jest taka, jaka między Netzerem z tamtych czasów i obecnym. Na moją niekorzyść... Teraz wy macie króla środka boiska. To Deyna... Proszę go pozdrowić!

Kazimierz Deyna był w tym czasie z Legią w Australii. Grała tam nadspodziewanie dobrze, co o tej porze roku, było sporym zaskoczeniem. U nas sro-

ga zima, mróz i śnieg, a na Antypodach pełnia lata. „Kaka” początkowo źle sypiał, na boisku był więc senny. Ale i tak najlepszy. W Las Palmas nie ma upałów, w dzień umiarkowana temperatura, tylko noce są dość chłodne. To nie razi, złości tylko brak słońca i zapłakane niebo. Deszcz jest na Gran Canaria rzadkim zjawiskiem, ale teraz leje, jak z cebra. Kanarki niespokojne na drzewach. Przewrotność natury!

Nasi juniorzy na zdobycie Pucharu Atlantyku liczyć nie mogli. Znaczna część chłopców zjawiała się na Wyspach Kanaryjskich bez żadnego przygotowania. Jeszcze nie zbudzili się z zimowego snu. Tych, co ich tu wysłali, wcale to nie zrażało. Opiekunowie juniorów dyskontując osiągnięcia seniorów przyjmowali każde zaproszenie na piłkarskie salony. Zarząd PZPN nie protestował. Czy to normalne? Początek na Estadio Insular w Las Palmas był jednak dość udany – remis 1:1 z Anglią, późniejszym zwycięzcą X Torneo Internacional Juvenil Copa del Atlantico. Drugi mecz z Niemcami jednak przegrany 1:2, a trzeci z reprezentacją Las Palmas adekwatny do prezentowanej formy (0:1). W tym spotkaniu nasi chłopcy ślaniali się na nogach. Nawet Krzysztof Budka, Andrzej Sikorski, Adam Nawałka, Adam Kensy i Janusz Baran opadli z sił. Takie były koszty tej zimowej wyprawy.

Na Estadio Insular poznałem ówczesnego prezesa Hiszpańskiego Związku Piłki Nożnej, Jose Luisa PEREZ PAYA. Na dłuższą rozmowę umówiliśmy się w nowo otwartym „Casa del Futbol” de la Federacion de Futbol de Las Palmas. Z wrażenia i zazdrości omal oczy nie wyszły mi z gałek. Niby to daleka prowincja w Hiszpanii, a taki raj dla piłkarzy. Wstyd mi było mówić jak to wygląda w Warszawie, wołałem powspominać z prezesem Perez Payą mistrzostwa świata w RFN. Był pod wrażeniem postawy „biało czerwonych”.

Jestem tu u nas, w Hiszpanii ambasadorem polskiego futbolu. Wszędzie podkreślam wzorową organizację gry waszej reprezentacji... Tego najbardziej wam

zazdrość. Spokoju, przemyślanych akcji, elementów zaskoczenia... To dzieło nie tylko „trzech wspaniałych” – Deyny, Laty i Gadochy. Cudowna cała drużyna! Widowiskowy futbol... Koniecznie muszę doprowadzić do meczu Hiszpania – Polska. Niech nasi kibice, piłkarze i trener Ladislao Kubala zobaczą, jak grają najlepsi... Na razie, w imieniu gospodarzy, w niedzielę zapraszam całą polską ekipę na mecz tutejszej „Polonii” z Apolinarią Las Palmas...

– Czy ja dobrze zrozumiałem? – zapytałem zdziwiony – Jest tu drużyna o nazwie „Polonia”?...

– Tak, jest, gra w lidze regionalnej... To prawdziwie amatorski klub o robotniczym rodowodzie... Bardzo go lubimy.

– Grają w nim Polacy?

Na wszystkie moje pytania Perez Paya nie był w stanie odpowiedzieć. Wyřczył go Juan Martin Rodriguez, prezes miejscowej „Polonii”. Starszy, szpakowaty pan, z mocno podkreślonym wąsem a’la nasz pradziad Sarmata. Był w towarzystwie wiceprezesa Jacinta Fiqueroli Sune. Ten dopiero kocha Polaków! Zwracał się do mnie per „amigo” i zapewniał, że „wszyscy Polacy są jego przyjaciółmi”. Jeden z synów wiceprezesa ma na imię Chopin...

– W naszej „Polonii” grają sami Hiszpanie – wyjaśnił. – Murarze, ślusarze, tapicerzy...

– Nazwa, skąd się wzięła nazwa?

– Z życia!... Z prozy, ale i ogromnej sensacji ostatnich mistrzostw świata... Pokonaliście tam Brazylię. Nasi chłopcy z podmiejskiej dzielnicy Rehoyas w Las Palmas tak bardzo zafascynowali się grą Tomaszewskiego, Deyny, Laty i Szarmacha, że postanowili zmienić nazwę swojego klubu z „Antonio Rojas” na... „Polonia” Las Palmas. Reprezentację Polski uważamy za lepszą od mistrza świata. Że też ten deszcz nie pozwolił wam wygrać we Frankfurcie!... Nasi chłopcy grają teraz w kostiumach blanco-rojas... Mamy tu kawałek Polski....

– Sami utrzymujecie klub?...

– Oczywiście! Finansowo wspierają nas tylko miejscowi kibice. Przychodzą tu całe rodziny, nawet matki z małymi dziećmi na rękach. Wszyscy płacą za bilety!... Mamy tu też małą salkę gimnastyczną, urządzamy tam zabawy. Tańczymy, śpiewamy, organizujemy loterię... To też daje trochę pieniędzy. I tak żyje nasza „Polonia”...

Przed występem pierwszych drużyn odbył się mecz rezerw. Wygrali miejscowi. Teraz na boisko, żywo przypominające obiekt „Drukarza” Warszawa w Parku Skaryszewskim, wyszła pierwsza „Polonia” w towarzystwie reprezentacji Polski juniorów. Niebawem oklaski, głośnie hurra widzów, uściski dłoni graczy, wymiana proporczyków. Sympatyczna impreza. „Polonia” walczy z zębem, z dobrej strony chce się pokazać gościom z Polski. Nasi juniorzy to wyczuwają. Adam Kensy organizuje doping:

– Hej Polonia, hej! Po-lo-nia!...

„Poloniści” z Gran Canaria wygrali 3:0. Prezes Juan Martin Rodriguez jest zadowolony. Przy pożegnaniu zapisuje adres PZPN.

– Do waszej federacji – powiedział – prześlę wkrótce okolicznościowy proporczyk i zdjęcia z tego niecodziennego spotkania...

– A ja – dodał kapitan drużyny – skreślę zaraz kilka słów pozdrowień z Las Palmas do bratnich klubów „Polonia” w Warszawie, Bydgoszczy i Bytomiu.

Zaraz po powrocie z Wysp Kanaryjskich współredagowałem setny numer tygodnika „Piłka Nożna”. Większość z dotychczasowych 99 zawierała treści miłe i bliskie sercu każdego kibica. Nasz futbol był na fali. To pokłosie złotego medalu olimpijskiego, Wembley, Stuttgartu, Frankfurtu i Monachium. To także ćwierćfinał „Orląt” w mistrzostwach Europy, brązowy medal juniorów na Costa Brava w Hiszpanii oraz troska publicystów o trwałe i systematyczny rozwój polskiego piłkarstwa. To wszystko utrwaliliśmy na naszych łamach. Rze-

czywiście: **Współdziałaliśmy · Współtworzyliśmy · Pomagaliśmy...** Zdarzały się też swoiste paradoksy.

„Piłka Nożna” była jedną z najpotężniejszych lokomotyw „Młodzieżowej Agencji Wydawniczej”, więcej – całego RSW „Prasa- Książka’ Ruch”. Mimo to zarobki pracujących tam dziennikarzy były dużo mniejsze, niż w niektórych pismach deficytowych. Ale one były „wiodące”, „ideologiczne”, „wychowujące we właściwym duchu”, a my tylko „pisemkiem hobbystycznym”. Naszym hobby było nie tylko pisanie o piłce, lecz również kopanie jej z ogromną pasją i wewnętrzną potrzebą.. Przez wiele lat w reprezentacji dziennikarzy grali: Stefan Grzegorzczak, Jerzy Lechowski i Mieczysław Szymkowiak, teraz podporą „Publikatora” był Stefan Szczepłek, mocno wspierany przez Kazimierza Oleszka, Tomasza Wołka, Zygmunta Lenkiewicza, Pawła Smaczne- go, Romana Hurkowskiego i najmłodszego w tym towarzystwie Pawła Zarzecznego.

Na tym nie koniec. Praktycznie codziennie (w okresie zimowego snu) graliśmy w piłkę również na głównym korytarzu naszej redakcji przy ulicy Wawelskiej 5, w monumentalnym obiekcie „Skry” Warszawa. Walczono ambitnie i bezpardonowo. Ostatnie rezultaty – to po raz drugi noga w gipsie Zygmunta Lenkiewicza, kilka stłuczonych szklanek, rozbita szyba w sekretariacie redakcji, także jedna lampa zwisająca z sufitu i... brudne ściany. – Trudno je domyć – za- liła się sprzątaczką, Stefania Sadowska. Lampę rozbił jednak nie jakiś patałach z naszej redakcji, lecz... znany, ale widać nie najlepiej wyszkolony piłkarz. Ligow- cy i reprezentanci Polski odwiedzali nas chętnie i dość często. Również trene- rzy i działacze. Budowały nas takie spotkania. Były prezes PZPN, Stefan Glin- ka jeden z twórców „Skry”, przy kawie i koniaczku grywał z nami w brydża. Gdy któryś z partnerów spartolił, nie pieklił się, tylko spokojnie dopingował: – No to piłka do dołka na poprawkę...

Przyjmowaliśmy gości z otwartymi rękami, ale „do grupy” zaliczaliśmy dopiero po spełnieniu przez nich pewnych sportowo-widowiskowych warunków. Wydawało się nam, że dla wyczynowców to żadna trudność, po prostu błahostka, bo Szymkowiak, Lechowski i Szczepłek wykonywali te ćwiczenia niekiedy nawet z zamkniętymi oczami. Na jednym końcu korytarza ustawialiśmy piłkę, a na drugim (odległość zbliżona do granic pola karnego) zwykłe krzesło z czterema nie powyłamywanymi nogami. Stawką było skierowanie piłki między nogi krzesła. Testowi temu chętnie poddawali się wszyscy, ale nie zawsze z powodzeniem. Tylko Benio Blaut zrobił to za pierwszym uderzeniem, inni dopiero po kilku próbach, „siłowcy” objali ściany. Trener Górski też trafił od razu i tak to skomentował:

– Jerzyk! – to do mnie. – Na mieście dowiedziałem się, co mnie czeka w redakcji. Potrenowałem więc pilnie w domu, no i zdałem egzamin...

Zabawa z piłką i krzesłem – to tylko jeden z wielu naszych korytarzowych pomysłów. Rozgrywaliśmy też mecze parami, a Stefan Szczepłek – to już indywidualnie – z lubością posyłał piłkę z 16 metrów do małego pokoiku przez lekko uchylone drzwi. Trafić tam, jak należy, było równie trudno, jak strzelić gola z rzutu wolnego przy wzorowo ustawionym murze. Stefan to umiał, nie przypadkowo więc Kazio Górski nadał mu przydomek „Biały Pele”. Ja – wciąż o niezłej sprawności technicznej i nawykach bilardowych – z tej samej odległości dość często trafiałem piłką w elektryczny wyłącznik i... gasiłem światło. To też wyższa szkoła jazdy. Mieliśmy redakcję o piłkarskich nazwiskach: Grzegorzycy, Piontek, Szymkowiak... Stefan nie był jednak spokrewniony z Ryszardem z Polonii Bytom, Antek z Leonardem z AKS-u Chorzów, a Mietek z Edwardem z Małej Dąbrówki, Ruchu, Legii i Polonii Bytom. Ale kopać piłkę też umieli!...

Jacy w ogóle byliśmy? Tak jak w „Przeglądzie Sportowym” Leszek Cergowski z humorem opisywał nasze zalety i ułomności, a więc i moje, tak w „Pił-

ce Nożnej” równie dowcipnie robił to Andrzej Pielasa. Tak na przykład ocenił szefa, Stefana Grzegorzycy: – Znamy gorszych... Wprowadza w redakcji świadomą dyscyplinę. Jeździ konno i na nartach... Wyróżnia się tym, że ma najlepszy, tryskający inwencją zespół dziennikarski i... rzadko bywa w redakcji... Na szczęście zawsze pozostają z nami Jerzy Lechowski i Mieczysław Szymkowiak.

„BIAŁY PELE” W ROLI GOŁASA

Obydwaj wyróżniają się olbrzymią wiedzą o futbolu, kochają tę dyscyplinę, ponadto literaturę piękną i sztukę (czego ślady można znaleźć w ich korespondencjach), a red. Lechowski dodatkowo jeszcze popisuje się poprawianiem naszych tekstów. Z miłości do piłki rezygnuje z własnych urlopów, spędza je na obozach i turniejach głównie juniorów. Był przy narodzinach Brychczego, Lubiańskiego i Deyny, a przed trzema laty odkrył talenty Janusza Kupcewicza i Stanisława Terleckiego. Żałuje, że tak późno poznał Stefana Szczepłkę. – Stefciu – powiada – łeb bym uciął temu, kto cię tak długo ukrywał w Falenicy. Mógłbyś tak dobrze grać w piłkę jak ja w bilard...

Szczepłek był dla Górskiego „Białym Pele”, moim zdaniem – zasługiwał też na ksywkę „Biały Robson”. Śpiewał równie ujmująco i niskim głosem jak ów legendarny Murzyn swoje „Missisipi...”. Nie był to, broń Boże – sznapsbaryton, tylko bezwzględnie czysty ton jakby zapożyczony od mistrza Bernarda Ładysza. Gdzieś się Stefan musiał tego nauczyć. A już na pewno, gdy „pierwsza setka zaszumiała mu w głowie”, „Biały Robson” mógłby z powodzeniem partnerować Wiesławowi Gołasowi. Miał dar przekonywania: – „W Polskę idziemy bracia, panowie”... Wtedy po kolejną flaszkę najczęściej i najchętniej biegł Romek Hurkowski.

W styczniu byłem z juniorami na Wyspach Kanaryjskich, w lutym z kandydatami do pierwszej reprezentacji wybrałem się na podbój Europy. Niestety, chory trener Górski pozostał w domu. Ster drużyny przejął Andrzej Strejlau. Tak tłumaczył sens tego tournée:

...W dużym stopniu można to porównać z zeszłoroczną wyprawą do RFN, Włoch i Algierii. Odbywa się mniej więcej w tym samym czasie. Wtedy szło o pierwsze w nowym sezonie rozpoznanie sił kadry przed finałami mistrzostw świata, teraz idzie o podobne informacje przed meczem z Włochami o mistrzostwo Europy. Nie będę ukrywał, że wtedy byliśmy w lepszej sytuacji kadrowej...

Zaczęło się źle, od przegranej w Salonikach z tamtejszym PAOK-iem. Nasi piłkarze, w tym zwłaszcza Deyna i Tomaszewski, narzekali na boisko.

– Błoto, glina, woda... Nogi zostają w ziemi... Już po treningach bolały nas łydki i pośladki.

– Przegraliśmy 0:1 – mówił Strejlau – mimo to jestem zadowolony z postawy zespołu. W tym roku w klubach lepiej przepracowano zimę. W Splicie powinno być lepiej...

Także ja byłem dobrej myśli. Forma kadry poszła w górę. Hajduk od lat najlepszy zespół klubowy Jugosławii, na nim opiera się trzon reprezentacji, przegrał 0:1. Zwycięstwo zasłużone, bramkę zdobył Kmiecik. Ze srebrnej drużyny z Monachium nie było na tym tournée: Żmudy, Musiała, Maszczyka i Gadochy. Ich zastępcy Henryk Wieczorek, Henryk Maculewicz, Lesław Ćmikiewicz i Kazimierz Kmiecik spisywali się dość dobrze, przeto po wygranej z Hajdukiem zapewnilem w „Piłce Nożnej”:

...Jestem gotów już dziś zaryzykować twierdzenie, że w kolejnych spotkaniach w Bochum i Zurychu nasz zespół zagra jeszcze lepiej, niż w Splicie... Pozycja wyjściowa do stałej poprawy formy jest dobra. Kadrowicze mają niezłe „naładowane akumulatory”...

Polacy w trzech kolejnych meczach z VfL Bochum, Guetersloh i Grasshoppers Zurych rzeczywiście zagrali dość dobrze, mimo to jedno z tych spotkań przegrali. Na własne życzenie... Do przerwy prowadzili w Bochum 1:0 ze strzału Deyny, ale w drugiej połowie Lato nie wykorzystał dogodnej sytuacji do podwyższenia wyniku na 2:0 i w zespole zaczęły się kłótnie.

... „Ech, szkoda mówić – westchnął z żalem Henryk Wieczorek. – Mniej więcej od siedemdziesiątej minuty Janek Tomaszewski ciągle miał do mnie pretensje. Nie widział czy udawał ślepego, że po kontuzji Jurka Gorgonia obro- na w składzie: Sobczyński, Wieczorek, Szymanowski, Wawrowski grała po raz pierwszy? Z monachijskiego składu pozostał tylko Antek Szymanowski i to na pozycji libero.

Największym mankamentem naszej drużyny w przegranym meczu z VfL Bochum był brak dyrygenta. Niemiłe zaskoczenie. Wprawdzie Deyna strzelił bramkę, ale grał słabo. Wyraźnie ustępował kolegom pod względem szybkości. Jeszcze nie doszedł do siebie po wyprawie Legii do Australii. Grał jednak w swoim stylu – rozsądnie i ekonomicznie, ale w zwolnionym tempie, unikał ostrych starć z rywalami. Rezerwowi też nie grali najlepiej. Z Chopinem lub Paderewskim trudno jest porównywać początkujących pianistów...

Manewry kadry w Grecji, Jugosławii, RFN i Szwajcarii skłoniły mnie do krytycznej, ale nie porażającej oceny „**Nie wszystko gra**”. Nie było czasu, klimatu i warunków sprzyjających tworzeniu nowych wartości w reprezentacji. Niektóre treningi – rzecz zrozumiała z konieczności – niemal wyłącznie sprowadzały się do rozgrzania „zastałych mięśni” w... samolocie lub autokarze. Podkreślam to celowo, bo ktoś z ekipy przekazywał do kraju informacje całkowicie kłójące się z rzeczywistością... *„Trenerzy Andrzej Strojau i Bernard Blaut przeprowadzają po dwa treningi dziennie, odbywają się też zajęcia w sali... Totalna bzdura.*

W ciągu dwutygodniowego tournée aż pięć dni było szkoleniowo martwych. Także te cudowne opinie o pięknych saunach i basenach też należało by potraktować jak bajki dla grzecznych dzieci lub naiwnych panienek. Nie było komfortu szkoleniowego, nie było też warunków do biologicznej odnowy organizmów. Doktor Janusz Garlicki po nocach masował zboląłych piłkarzy. Czy to normalne? Większość kadrowiczów, zwłaszcza tych z Legii Warszawa, Stali Mielec i Ruchu Chorzów (wcześniej z klubami podróżowali po świecie) nie była zdolna do rozegrania pięciu spotkań w ciągu 14 dni. Gorzej, cały czas z kadrą przebywał kontuzjowany Roman Ogaza, a od meczu w Bochum Jerzy Gorgoń. Dlaczego obu natychmiast nie odesłano do klubów? Bałagan... Na lotnisku, we Frankfurcie nad Menem zatrzymano całą ekipę. Nie miała wiz wjazdowych do Niemiec.

Od strony czysto sportowej obserwowałem tę wyprawę głównie pod kątem zbliżającego się meczu z Włochami o mistrzostwo Europy. Koledzy z redakcji też o to pytali. Odpowiedziałem, zresztą powtórzyłem to na łamach „Piłki Nożnej”, że nie widzę żadnych podstaw do rezygnacji z: Tomaszewskiego, Szymanowskiego, Gorgonia, Wieczorka, Wawrowskiego, Maculewicza, Deyny, Kasperczaka, Ćmikiewicza, Laty, Szarmacha i Kmiecika. Miłym zaskoczeniem była zwłaszcza dobra gra obrońcy Henryka Wawrowskiego z Pogoni Szczecin. Czy są w zanadru równie uzdolnieni kandydaci? Stawiałem na Terleckiego, Kustę, Kapkę i Kupcewicza, ale wtedy ich jeszcze nie poddano egzaminowi. Niewiadomą była też forma Gadochy, bo akurat wtedy podpisał zawodowy kontrakt z FC Nantes. Obiecał jednak, że „będzie grał dla Polski”.

Z opinią – „Nie wszystko gra” nie zgadzano się w PZPN. A ja uparcie powtarzałem: ... „*Przed meczem z Włochami o mistrzostwo Europy może i musi być lepiej*”. I było! W Poznaniu „biało-czerwoni” rozgromili reprezentację USA 7:0. Ten haitański wynik nie przyszedł łatwo, trzeba było zagrać na pełnych obro-

tach przez 90 minut. Efektownie i skutecznie! Zespół Stanów Zjednoczonych nie był wcale gorszy od sparingpartnerów kadry podczas lutowego tournée. Ale teraz nasi strzelcy wyborowi – Lato i Szarmach oraz lider zespołu Deyna znowu byli w mistrzowskiej formie. Także w kolejnym meczu kontrolnym z Walencją (3:0) Lolek i Bolek celnie strzelali. Czy dorówna im Gadocha?

Mecz z Włochami w Rzymie jeszcze nie był popisem Polaków, jednak wynik bezbramkowy przyjęliśmy w konwencji Wembley – jako „zwycięski remis”. Właściwie ocenił sytuację trener Górski: ... „*Wynik jest korzystny, ale gra mogłaby być lepsza...*”. Tak czy siak utrzymaliśmy po tym meczu pierwsze miejsce w V grupie eliminacyjnej przed Holandią i Włochami. Reprezentacja Finlandii była w tym towarzystwie wyłącznie dostarczycielem punktów. Wygraliśmy z nią dwukrotnie 2:1 i 3:0. Teraz do rangi przeboju sezonu urastał mecz Polska – Holandia w Chorzowie. Już raz pokonaliśmy tam „pomarańczowych”. Jak będzie tym razem? – nagabywałem Kazia w kilku kolejnych rozmowach:

– Witam trenerze, jak tam po urlopie? Wypoczął pan, widać to po brzuszku. Jakby się nieco zaokrąglił... Spada na kolana...

– Dziękuję, już mieszkanie wyremontowane, żona wraca z wczasów. A ja – kończę podróże po kraju., Dotychczas obejrzałem sześć spotkań ligowych... Drużyny wyraźnie się rozkręcają, reprezentanci też.

– Humor trenera nie opuszcza. Mnie na przykład zaskakuje słaba forma Deyny...

– Kolego, ja też to widzę, ale... za wcześnie na ostateczne decyzje. Zresztą, słabiej grają także: Maszczyk, Marx, Kasperczak, Kapka i Kmiecik...

– Będą więc kłopoty z powołaniem „szesnastki” na mecz z Holandią?

– Tego nie powiedziałem... I nie będzie to „szesnastka” tylko „osiemnastka”. Deynie i Maszczykowi muszą dać szansę...

– Odkrył pan jakiegoś nowego Żmudę lub Wawrowskiego?

– Wybitni piłkarze nie wyrastają tak szybko jak stokrotki na łące. Na to trzeba czasu... Trzon reprezentacji będą więc tworzyć wypróbowani i doświadczeni zawodnicy.

– Będzie wśród nich Gadocha?

– Bardzo na niego liczę... Również Włodek Lubański pisał z Belgii, że jest w każdej chwili do naszej dyspozycji. Będzie dobry – to zagra na pewno...

Przed drugą rozmową z Kazimierzem Górskim dość często kontaktowałem się z byłym trenerem reprezentacji, Antonim Brzeżańczykiem. Pracował wtedy w Feyenoordzie Rotterdam, w klubie chlubiącym się wywalczeniem Pucharu Świata. Zaszczyt to niewątpliwy, dotychczas takiego nie dostąpił żaden z polskich szkoleniowców. To zdumiewające, przecież nie tak dawno Antek otrzymał w naszej lidze mocnego kopniaka w tyłek, a teraz otwiera listę naszych „eksportowych” trenerów. Ktoś tu chyba zwariował! W naszych klubach wielu prezesom, dyrektorom, notabdom z branży przemysłowej i administracji państwowej wyraźnie wadzi fachowość. Dzięki kontaktom z Brzeżańczykiem przekazywałem trenerowi Górskiemu najświeższe informacje o formie i sposobie gry reprezentantów Holandii. Za pośrednictwem Antka przeprowadziłem nawet wywiad przez telefon z Cruyffem.

– Johan, ty jesteś w Polsce bardzo popularny. Chłopcy wycinają z gazet twoje zdjęcia...

– Nie do uwierzenia! Przecież mają u siebie Latę i Deynę?! Ale widać sympatie nie mają granic. Ja też lubię Polskę...

– Teraz Johan, jesteś w Barcelonie. Opowiadaj, jak ci się tam wiedzie?

– Myślę, że dopiero w tym sezonie odegram w Hiszpanii właściwą rolę. Z Weisweilerem trenuję bardziej intensywnie niż dawniej z Michelsem. Czy wrócę do Ajaxu? O tym decydują pieniądze. A tych Barcelona ma dziś znacznie więcej...

– A interesy w Holandii?

– Prowadzi je mój teść, Cornelius Coster. Ja nie mam na to czasu. Teraz nawet z Pietem Keizerem rzadko się widuję i już razem nie łowimy pstrągów...

– Spotkacie się na zgrupowaniu kadry przed meczem z Polską...

– Właśnie trener Knobel powołał mnie i Neeskensa na spotkanie w Chorzowie. Już raz tam byłem, przegraliśmy 1:2.

– A kto wygra teraz?

– To będzie równie trudny mecz. Sprawa otwarta, każdy wynik jest możliwy... Polacy umieją stworzyć przyjazny klimat wokół swojej drużyny. Te sto tysięcy widzów!...

– Co ci się najbardziej podoba w polskim zespole?

– Organizacja gry, a zadziwia zbiór w jednym zespole tylu gwiazd: Lubański, Deyna, Lato, Gadocha, Gorgoń...

– Lubański i Gorgoń nie wystąpią w Chorzowie.

– Wiem, że los tak źle obszedł się z Lubańskim. Życzę mu szybkiego powrotu do zdrowia. Natomiast dziwi mnie tak lekkomyślne zachowanie Gorgonia. Trwoni talent. Kiedyś sądziłem, że będzie najlepszym stoperem w Europie... Dzisiejszy futbol wymaga nie tylko dużej inteligencji, w ogóle szerszego i głębszego spojrzenia na sport, życie, współczesność... Także samodyscypliny!...

Druga z kolei rozmowa z Kazimierzem Górskim przed meczem z Holandią dotyczyła składu kadry.

– Czy coś kolegę redaktora zaskoczyło?

– Chyba tylko bezgraniczne zaufanie selekcyjera do wszystkich znanych i uznanych w kraju sław.

– Myślisz o Deynie, Kasperczaku, Marxie?... Zazwyczaj kieruję się aktualną formą zawodników, ale niekiedy robię w tym względzie wyjątki...

– Słowem nie tylko aktualna forma, ale i faktyczne możliwości?...

– Dobrze powiedziane. Kadrowiczów znam nie od dziś i wiem, na co ich stać. Zaufałem niemal wszystkim zawodnikom, z którymi byłem na tournée w USA i Kanadzie. Zrobiliśmy tam sporo dobrego dla reprezentacji.

– Więc nie była to tylko atrakcyjna wycieczka?

– To jest Jerzyk, przepraszam, że ci to wytykam, pytanie w stylu ludzi nie zorientowanych w pracy z reprezentacją. O to cię nigdy nie posądzałem... Przecież w meczach za Atlantykiem jeszcze bardziej zespoliła się nasza drużyna. Pokaże to w meczu z Holandią...

– Czy słabszy ostatnio Deyna również? Podobno marudzi...

– Powiem ci tak po przyjacielsku, tylko dla ciebie, choć wiem, że o tym napiszesz i że nie wszystkim się to spodoba. Deyna – w jakimś stopniu także Tomaszewski – mają w sobie coś z wielkich artystów, którzy swoją wielką rolę mogą odegrać tylko w wielkim widowisku i na wielkiej scenie. Mobilizują się wtedy psychicznie... Właśnie taką okazję stwarza mecz z Holandią i dlatego w nich wierzę. Z Kaziem przeprowadzę zresztą rozmowę indywidualną. Postaram się dotrzeć – że się tak wyrażę – do wnętrza jego duszy. Bo w tym meczu potrzebny będzie duch z Wembley...

Przed samym meczem jeszcze raz rozmawiałem z Górskim i z Brzeżańczykiem oraz z Ryszardem Koncewiczem. Wszyscy trzej właściwie ocenili sytuację. Górski twierdził, że *„wygra ten, kto lepiej pomyśli, a my myślimy tylko o zwycięstwie”*, Brzeżańczyk był zdania, że *„o wszystkim zadecyduje serce do walki, bo w tym meczu nie ma faworyta”*, a Koncewicz był przekonany, że *„o naszej wygranej zadecyduje własne boisko”*. Nikt więc nie stawiał na Holendrów. Kazio Deyna marzył jednak o tym, ... *„żeby Neeskens był od niego gorszy”*, a Mirosław Bulzacki, który zastępował zdyskwalifikowanego Gorgonia, był przekonany, że *„nawet wielki Johan nie lubi, kiedy ktoś siedzi mu na plecach...”*.

Zatem kto wygra? Opinia fachowców była zgodna. Zwycięzca meczu Polska – Holandia narodzi się w wyjątkowo trudnej i wyczerpującej walce. Czy

my, piłkarze, trenerzy, działacze i dziennikarze zrobiliśmy wszystko, aby zwycięstwo było po naszej stronie? Tak, ale nie bądźmy naiwni – przeciwnik też chce wygrać. Za nami – w stopniu dotychczas rzadko spotykanym – przemawiają duże kompetencje ludzi kierujących reprezentacją. Głowę selekcjonera już zdobi laur olimpijski i srebrna korona mistrzostw świata. Trenerska znakomitość. Jego najbliżsi współpracownicy: Andrzej Strelau, Bernard Blaut, Hubert Kostka, Ryszard Kosiński i Zbigniew Należyty też nie od macochy. Pięli się w górę szczebel po szczeblu o własnych siłach. Nikt ich przecież nie porwał do piłkarstwa z ulicy, nie skierował też do reprezentacji z partyjnego „klucza”, jakiegoś podejrzanego układu towarzyskiego lub zażyłości z trenerem. Wywalczyli przy nim swoją pozycję dobrą pracą. Pobyt z kadrą w Kamieniu – to ich naturalny awans.

Czy tych ludzi mogli zawieść piłkarze? Czy mogli zawieść kibiców? Po wygranej z Holandią 4:1, a mogło być jeszcze więcej, wyczyn naszych reprezentantów wyraziłem siłą jednego słowa – NIEZAWODNI! Mieliśmy w tym meczu drużynę, o jakiej marzy każdy kraj i od dłuższego czasu nam zazdrości. Mieliśmy też trenera (i obyśmy go mieli jak najdłużej), który – taki to już z niego mistrz – w ciągu 16 dni postawił na nogi wszystkich członków zwycięskiej ekipy. Odrodził medalistów olimpijskich i mistrzostw świata! Pozostał jednak skromny i sprawiedliwy: ... *„Na ten wynik złożył się wysiłek wielu ludzi, całego sztabu szkoleniowego, ale decydujący głos należał do zawodników”*.

Jak grali? Kto się szczególnie wyróżnił? Jan Tomaszewski był perełką tego meczu. Podnosił kolegów na duchu, twardziel psychiczny. Wielki aktor wielkiego widowiska. Kto jeszcze na świecie byłby w stanie tak skutecznie obronić nogami chytry strzał „boskiego Johana”? „Tomek” doznał przy tej interwencji bolesnej kontuzji stopy lewej nogi, ale dzielnie wytrwał do końca meczu. Ból długo nie ustępował. Dopiero w Łodzi się pożalił: – Lekarze orzekli, że pękła kość

śródstopia i naderwały się ścięgną w stawie skokowym... Więc nałożyli mi gips na chorą nogę...

Kazimierz Deyna?... To drugi nasz piłkarz, o którym przed meczem tak ciepło wyrażał się Kazimierz Górski. Artysta futbolu, kreator niecodziennych widowisk! Wielki strateg, jednym nieszablonowym podaniem dezorganizował holenderską obronę. Gracz wszechstronny. Był w tym meczu nie tylko genialnym reżyserem akcji ofensywnych, czwartym napastnikiem lecz także „wymiataczem” linii pomocy. Mistrz zwodów i zmiany rytmu gry. Niepokoił Van Beverena strzałami z dystansu. Bramki zdobywali jednak Szarmach, Lato i... Gadocha. Przyjechał z Nantes i zrobił swoje. Silny punkt zespołu. Co za „profesura” przy zdobytej bramce?!

Włosi, nasz równie groźny rywal w eliminacjach mistrzostw Europy, z zaniepokojeniem przyjęli naszą wiktoryę w Chorzowie. Tak się tym przejęli, do tego stopnia potracili głowy, że sami posiali kolejny punkt w bezbramkowym meczu z Finlandią. Trener Enzo Bearzot po relacji Fulvio Bernardiniego, który mu opowiedział o wyczynach Polaków w Chorzowie, łapał się z rozpaczy za głowę. Z jednej strony wpadka z Finami, z drugiej obawa przed furią Polaków. Obaj ocenili, że w meczu z Holandią Polacy grali jeszcze lepiej niż podczas mistrzostw świata w RFN. W miarę skuteczną receptą na husarskie szarże „biało-czerwonych” może być tylko pressing i żelazna dyscyplina taktyczna. Cattenacio! Nie mylił się, tak właśnie zagrali Włosi na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie i osiągnęli tam bezbramkowy remis. Najpierw jednak w Amsterdamie odbył się rewanżowy mecz Holandia – Polska.

Po sukcesie w Chorzowie trener Górski stał się najpopularniejszym człowiekiem w naszym kraju. Dla pana Kazimierza coraz więcej było kwiatów, toastów, białych tang, spotkań z kibicami, słowem – przejawów powszechnej i szczerzej sympatii. Nawet dorastające panienki, widziałem to, wszak towarzyszyłem

Górskiemu w podróży po kraju, lgnęły do selekcyjona jak pszczoły do miodu. Prosiły o autografy i choćby o jeden takt jakiegoś pląsa na parkiecie. Górski odmawiał nawet wtedy, kiedy ktoś z dobrze zorientowanych zamówił u kapelmistrza „Polesia czar”. Kazio się rozczulał, dziękował, sam też podśpiewywał, ale tańców zdecydowanie unikał. – „To nie moja specjalność” – wyjaśniał zawieszonym panienkom.

Ale Górskiego na fali ogólnego uwielbienia usiłowano także pouczać. Raz po raz pojawiały się w prasie slogany sprzed blisko półwiecza: ...”Atak jest najlepszą obroną”... lub że „najważniejsze jest bezpieczeństwo pod własną bramką...” W czasach „gry wszystkimi siłami” i „futbolu totalnego” już to wyraźnie kłóciło się z rzeczywistością, jednak mnie najbardziej bolało prostackie „nie należy zmieniać zwycięskiej drużyny”. Górskiego też to wkurzało, bo zawsze był elastyczny w swoich decyzjach, daleki od rutyniarstwa i utartych szlaków. Tworzenie drużyny nazywał „procesem trwałym”, a nie działaniem „zamkniętym w sobie”. Miał duszę twórcy – nowatora, bogatą wyobraźnię. Trwanie w konserwatywnych formułkach kadrowych kłóciło by się z jego „wariantem ryzyko”.

Doskonalenie form selekcji jest koniecznością i podstawowym zadaniem każdego trenera. Mam tu na myśli oczywiście reprezentację, bo w klubach nie ma takich możliwości tworzenia lepszych wartości, jak w zespole narodowym. Tu jest zdecydowanie więcej wybitnych indywidualności. Poza tym w lidze coraz częściej decydujący głos w sprawach personalnych mają „spece” od „organizacji”, a nie od szkolenia. Na szczeblu reprezentacyjnym nie powinno być „świętych krów”. Sztuczny ferment w zespole i nieuzasadnione „rotacje kadrowe” nie są pożądane, ale świadome poszukiwanie nowych rozwiązań – bezwzględnie tak.

Podobno nie lubisz zmieniać składu zwycięskiej drużyny? – zaskoczyłem Górskiego.

Kto to powiedział?! – oburzył się trener. – Chcesz mieć wyniki, to nie możesz trwać w uporze! ... W pracy z reprezentacją potrzebne są nowe nazwiska. W Łodzi w meczu z Węgrami dowiedliśmy, że mamy nie tylko jedenastu „żelaznych” reprezentantów i jednego jockera Leszka Ćmikiewicza. Są uzdolnieni następcy... Nie grali Gorgoń, Deyna i Gadocha, natomiast Tomaszewski, Szymanowski, Kasperczak i Lato w niecałym wymiarze czasowym, mimo to wygraliśmy 4:2. A bramki strzelali Marx, Kmiecik i Kasperczak...

Ale za bardzo nie dmuchajmy w zwycięskie surmy. To, co wystarczyło na Węgrów, nie wystarczy na Holendrów... W Amsterdamie będzie zupełnie inny mecz. Deyna nie grał za karę? Podobno w Rembertowie piłkarze kręcili nosami, że spóźnił się na zgrupowanie?

Może kręcili, może narzekali, ale ja uznałem za stosowne dać Deynie kilkudniowy odpoczynek. Psychicznie był trochę podłamany...

– Znaczy to, że zagra w Amsterdamie...

– Oczywiście! Druga linia wystąpi w składzie Kasperczak – Deyna – Maszczyk. Tak jak podczas mistrzostw w RFN...

– Holendrzy pójda na całego... Czy w tej sytuacji nie było by dobrze wzmocnić tę formację którymś z bardziej defensywnie grających pomocników?

– Po co? Przecież Maszczyk i Kasperczak robią to dobrze. Deyna jest lepszy w konstrukcji, ale też umie przytrzymać piłkę.

– W napadzie „bombowo” grał Marx. Knobel był zaskoczony. Czy nie lepiej było by zaskoczyć go w Amsterdamie, a nie w Łodzi?

– Marx jeszcze wszystkiego nie pokazał. Myślę, że Knobel nadal ma ból głowy.

– Górski chyba też! Trzeba się zdecydować Marx czy Gadocha?

– W Amsterdamie urząda nas remis. Gadocha w razie potrzeby może spełniać zadania czwartego pomocnika...

– Będziemy tam grać „na remis?...

- Z góry tego nie zakładam, ale byłbym z takiego wyniku zadowolony...
- A więc klasyczny kontratak?
- Może... Mamy przecież odpowiednich wykonawców. To jest nasza silna broń...

W meczu rewanżowym w Amsterdamie poznaliśmy gorzki smak porażki. Po słońcu był deszcz...

...Zaskoczenie jest powszechne – pisałem w „Piłce Nożnej”. – Tak nieporadnie grającej reprezentacji Polski nie widziano od dawna. Zrodziły się pytania, wątpliwości: – Byliśmy źle przygotowani do tego meczu? Dlaczego w Amsterdamie wystąpiliśmy w tym samym składzie co w Chorzowie? Czy to owiane już legendą 4:1 na Stadionie Śląskim nie było przypadkiem szczytem możliwości „biało-czerwonych”... Co dalej? Jeden z liderów reprezentacji Włoch Giacinto Facchetti po naszej wiktorii w Chorzowie sugerował zmierch reprezentacji Włoch i coraz wyższy lot Orłów Górskiego. Tymczasem można chyba mówić o powolnym odwróceniu naszej drużyny. Byliśmy na rozdrożu...

Po kolejnym meczu z Włochami, niestety – znowu bezbramkowym, pozostaliśmy na rozstajach. O własnych siłach nie byliśmy już w stanie przebić się do puli finałowej mistrzostw Europy. Gdyby jednak Włosi wygrali z Holandią 4:0, mogliby wyciągnąć za nas kasztany z ognia. Stracone złudzenia. Na Stadio Olimpico w Rzymie „azzurri” wprawdzie wygrali, ale tylko 1:0. Koniec marzeń – kolejne mistrzostwa Europy przeszły nam koło nosa. Czkwawką odbiły się nam dwa bezbramkowe mecze z Włochami, to zadecydowało o naszym drugim miejscu w tabeli, Holendrzy celniej strzelali. Jak teraz powiedzie się w kolejnych eliminacjach mistrzostw świata? Graliśmy w jednej grupie z Cyprzem, Danią i Portugalią. Zaraz po losowaniu w Gwatemali sugerowaliśmy w „Piłce Nożnej” następujący układ sił: 1. Polska 2. Portugalia 3. Dania 4. Cypr. Czy tak będzie za dwa lata?

Reprezentacja nadal cieszyła się społecznym zaufaniem. Fakt, spisała się poniżej oczekiwań i możliwości, dobre mecze przeplatała słabszymi, jednak na kontynencie nadal była wysoko notowana. Z Holendrami, finalistami Euro 1976 wypadła na remis. Taka była. A jaka być powinna? Trener Górski poszukiwał pełnowartościowych następców: Adama Musiała, Zygmunta Maszczyka i Roberta Gadochy. Znalazł tylko Henryka Wawrowskiego na lewą obronę. Pozostali kandydaci nie zdali egzaminu. To źle wróżyło przed Olimpiadą w Montrealu i mistrzostwami świata w Argentynie. Nasilało się „zmęczenie materiału”. Dość długo nowoczesnym „oknem wystawowym” naszej reprezentacji były dwie formacje – pomoc i napad. W roku 1975 również tu można było zauważyć pierwsze przejawy „zmierzchu bogów”. Bolały „sprawy” – najpierw Gadochy, a potem Deyny i Gorgonia. Od tych ułomności musimy uwolnić naszą reprezentację.

Trener Górski usilnie pracował nad wynalezieniem nowej broni. W latach 1971 – 1975 praktycznie w każdym sezonie zaskakiwał piłkarski świat szkoleniowym nowatorstwem. Było minęło, panta rei... Aż prosiło się o nowe rozwiązania taktyczne. Te warianty, które wyniosły naszą reprezentację na olimpijskie i mundialowe szczyty, teraz już nie wystarczyły. Brakowało zresztą wybitnych wykonawców. W roku 1975 nie było graczy rangi światowej, a klasę europejską reprezentowali tylko: Jan Tomaszewski, Władysław Żmuda, Grzegorz Lato i Andrzej Szarmach. Martwił gwałtowny spadek formy Antoniego Szymanowskiego, Jerzego Gorgonia i Kazimierza Deyny. Nadal na nich liczymy. A kto z „nowej fali” rokuje największe nadzieje? Zbliżał się czas Pawła Janasa, Zbigniewa Bońka, Janusza Kupcewicza, Stanisława Terleckiego i ich rówieśników.